

**WŚRÓD
SOSNOWYCH
DRZEW**

**RADOSŁAW
BUDKIEWICZ**

**WŚRÓD
SOSNOWYCH
DRZEW**



WYDAWNICTWO DLACZEMU

dla•czemu

www.dlaczemu.pl

Dyrektor wydawniczy: Anna Nowicka-Bala
Opieka wydawnicza: Katarzyna Mróz-Jaskuła
Redakcja: Ewa Hoffmann-Skibińska
Korekta językowa: Dominika Surma
Projekt okładki: Agnieszka Zawadka
Skład i łamanie: Katarzyna Mróz-Jaskuła

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
WARSZAWA 2023

Wydanie I

ISBN: 978-83-67691-14-7

Zapraszamy księgarnie i biblioteki do składania zamówień hurtowych z atrakcyjnymi rabatami. Dodatkowe informacje dostępne pod adresem: kontakt@dlaczemu.pl

Jak zawsze, dla mojego taty

Rozdział 1

Nocny marazm zburzył ryk silnika pędzącego automobilu. Zielonkawy studebaker commander z dwudziestego ósmego roku ściał zakręt i zjechał z asfaltowej, ciągle lśniącej od deszczu drogi, przyspieszając. Koła zabuksowały na błotnistej, nierówno wysypanej żwirem alejce. Zarzuciło mocno tyłem, kierowca zaklął, walcząc z maszyną. Spieszył się i wyciskał ze starego automobilu, ile tylko się dało, nie bacząc na niebezpieczeństwo związane z tak dużą prędkością.

Na szczęście szybko odzyskał panowanie nad studebakerem.

Światło padające z reflektorów na jedną krótką chwilę omiotło starą, drewnianą tabliczkę ostrzegającą wszystkich, że wkraczają na teren wyrębu lasu. Oficjalnie wstęp był tylko dla pracowników tartaku Daugherty & Co. Nieoficjalnie wchodzili tam wszyscy, którzy chcieli.

Ochrona i tak tego nie pilnowała. Zakład chylił się ku upadkowi, a recesja tylko pogarszała sytuację. New Deal, tak szumnie zapowiadany przez prezydenta Roosevelta Nowy Ład, tylko odwlekał nieuniknione. Bogacze sobie radzili, biedota dostała wsparcie, ci pomiędzy... Cóż, kapitalizm bywa krwiożerczy. Stan tartaku doskonale o tym świadczył. Dawniej o każdej porze dnia i nocy coś się tu działo.

Teraz... nic.

Dla kierowcy i pasażerów – no, prawie wszystkich pasażerów – nieczynny tartak i las za nim były jednak odpowiednim miejscem. Idealnym wręcz. Odosobnionym, ale

dostatecznie bliskim. Znanym wszystkim, ale przez wszystkich unikany.

Automobilem jechało ściśniętych pięć osób. Trzech mężczyzn, milczących i poważnych, ubranych w coś, co przypominało mnisie habity. Z dwóch kobiet tylko pierwsza miała na sobie coś podobnego do stroju mnicha czy zakonnicy, jednak znacznie bardziej bogato zdobionego, druga zaś była boso, w prostej, jasnej koszuli nocnej, z jutowym workiem na głowie, spętana sznurem.

Jako jedyna miała ciemniejszą skórę.

Szlochała cicho, przyciskając dłonie do wydatnego, ciężowego brzucha. Przysłuchiwała się wszystkim dźwiękom, jakie nieprzerwanie płynęły obok – cóż innego miała do roboty? Modlitwy zaprzestała już jakiś czas temu. Jedyne troska o nie-narodzonego jeszcze syna lub córkę powstrzymywała ją od głośnego wybuchu płaczu i wycia w rozpacz.

Chciała zawołać męża, ale nie potrafiła się zmusić do wykrzyczenia jego imienia. Zasnęli razem, wtuleni w siebie, ciesząc się ciepłem ciała w tę zimną noc. Czuła się dobrze, szczęśliwa i bezpieczna w jego ramionach. Była spokojna, śpiąca, a potem... Nagle, brutalnie wszystko się urwało.

Wiedziała, że jego też zabrali, widziała, jak jakiś przysadzisty mężczyzna z bokobrodami (łudzaco podobny do właściciela jedynej w miasteczku kina!) uderza go kolbą rewolweru w głowę, zarzuca na czerep worek i wyciąga z domu, ale potem ona też została tak potraktowana. Potem była tylko ciemność. Bólu uderzenia nie zapomni nigdy.

Bała się, że tępe pulsowanie na potylicy to tylko początek. Zwłaszcza że gdy wepchnęli ją do samochodu – ich własnego wozu! – usłyszała tylko głuchy, nieprzyjemny dźwięk

przywodzący na myśl stłumiony wystrzał. Nie chciała jednak dociekać, co to mogło być. Wolała trwać w niepewności, niż poznać brutalną prawdę.

Bała się jej, a strach był obezwładniający. Paralizował.

Pojawiła się też upiorna myśl dotycząca jej brata. Nie wrócił do domu na noc, ale z drugiej strony, często tak robił. Spędzał całe dnie i noce u swoich koleżków, pijąc. Jedynie szacunek do więzów krwi nie pozwalał jej wyrzucić tego pijusa na bruk. Oddałaby jednak wszystko, by teraz mieć obok brata, męża. Kogoś, komu mimo wszystko ufała. Kogo kochała.

Była bowiem sama. Zdana tylko na siebie i na łaskę porywaczy. Poruszyła się lekko, na tyle, na ile pozwalał gruby, konopny sznur krepujący ręce w nadgarstkach i nogi w kostkach. Siedzący po jej bokach mężczyźni na szczęście nie zareagowali.

Westchnęła więc ciężko, próbując opanować drżenie. Było jej zimno. W końcu to jesień, ale przetaczająca się przez jej ciało fala dreszczy miała swe źródło w strachu. W czystej, nieposkromionej grozie. Bogu dzięki, że miała na głowie ten worek! Gdyby miała spojrzeć w twarz porywaczom, pewnie by zaczęła krzyczeć. A wtedy nie wiadomo, jak mogli się zachować. Do czego byli zdolni.

– Zjedź tutaj, za tymi ciężarówkami. – Kobiocy, nieco zachrypnięty głos wydał polecenie. Automobilem lekko szarpnęło, a ciężarna zrozumiała mniej więcej, gdzie jest. Jedynym miejscem w całym Pine Hills, gdzie parkowano ciężarówki, był plac w pobliżu tartaku.

Gdzieś tutaj leżały powalone i ścięte pnie. Ziemia była pewnie oczyszczona z drzew; musiały też być prowizoryczne baraki i domki, wysoki płot lub inne ogrodzenie sprzed kilku czy kilkunastu lat, z drutem kolczastym na samej górze. Czy

to tutaj ją wieźli? Po co? W jakim celu? I gdzie jest jej mąż?
Co się z nim stało?

Co się z nią stanie? Te pytania zaprzętały głowę młodej dziewczyny, zatrzażały wspólnie z panicznym strachem. Wyrywana ze snu, półprzytomna, uderzona, nie miała nawet okazji przyjrzeć się swoim porywaczom. Wiedziała tylko, że są mężczyznami. Białymi, trzeba dodać. Jednego niby kojarzyła jako kiniarza, ale pewności nie miała.

Nie miała nawet pojęcia, że jest z nimi kobieta, dopóki ta się nie odezwała! Wszystko stanowiło straszną tajemnicę, której rozwikłania bała się jednak jeszcze bardziej. Podejrzewała nawet, że to koszmarny, wyjątkowo realistyczny sen, normalna rzecz na tak późnym etapie ciąży, ale rzeczywistość była znacznie bardziej upiorna. Ból wrzynającego się w skórę sznura i smród starego worka były prawdziwe.

Kierowca nagle zwolnił.

Odczuła aż za dobrze utratę prędkości i poleciała trochę do przodu. Studebaker zjechał z błotnistej, nierównej i niedbale utwardzonej alejki na dróżkę wyjeżdżoną przez drwali. Kilka-naście minut później i ta dróżka zniknęła, ustępując miejsca leśnym ostępom, dzikim, nietkniętym przez ludzi.

Automobil najwyraźniej zagłębiał się coraz dalej w las, gdzie drzewa rosły gęściej. Silnik ryczał wściekle, opony buksowały na błocie i ziemi, maszyną miotało na lewo i prawo.

Oddalali się od miasta. Od tartaku. Tego była już pewna. Słyszała, jak gałęzie stukały w karoserię, uderzały o szyby. Korzenie wprawiły pojazd w nieprzyjemne drżenie, w końcu coś głośno zgrzytnęło – porwana poczuła irracjonalne oburzenie, że tak brutalnie obchodzą się z samochodem jej męża.

Po kolejnych długich minutach studebaker znów skręcił, tym razem jednak zaczął mozolną, niespieszną wspinaczkę po łagodnym wzniesieniu. Gdy dotarli do szczytu, kierowca przyspieszył; skrępowana poczuła nieprzyjemny ucisk, a potem pustkę w żołądku, gdzie środek ciężkości gwałtownie się zmienił.

Minął kolejny kwadrans i – wreszcie! – studebaker najwyraźniej dotarł do celu, jakikolwiek by on nie był. Silnik dalej pracował, miarowo i spokojnie, ale pojazd łagodnie się zatrzymał. Wokół kobiety zapanowało poruszenie, lecz nikt się nie odzywał. Drzwiczki się otworzyły, wpuszczając do środka nocny, jesienny chłód. Z samochodu wyszli wszyscy oprócz porwanej – chwilę później i ona opuściła ciepłe wnętrze. Mentalnie poczuła dreszcze i kąsanie zimnego wiatru.

Porywacze zachowywali się zaskakująco grzecznie i uprzejmie, co stanowiło nie lada kontrast w porównaniu ze zwierzęcą wręcz agresją w domu. Posadzili ją na miękkim, o dziwo suchym piachu przypominającym w dotyku popiół. Zanim jednak zdołała się podnieść, ktoś zerwał jej worek z głowy. Zamrugła, rozglądając się niepewnie dookoła. Poczowała się zagubiona jak jeszcze nigdy w życiu.

Nie wiedziała, gdzie jest.

Ciągle była noc, zimna i mglista. Wszystko otaczała ściana drzew. W oddali, na tle czarnego nieba, widniał zarys masywu górskiego. Appalachy były normalnym widokiem w Pensylwanii, podobnie jak lasy, więc mogła być wszędzie. I nigdzie. Zdała sobie sprawę, że gdzieś jest tartak, ale jechała tyle czasu... Obróciła się na piachu, chcąc lepiej poznać ten teren.

Polana nie była duża. W jej centralnym miejscu znajdował się sękaty pień jakiegoś potężnego niegdyś drzewa, teraz

jednak był czarny i martwy, wypalony. Wokół niego widniała goła ziemia pokryta sypkim, szarawym... nie, czarnym niemalże piachem, istotnie przypominającym popiół.

Nawet rosnące wokoło sosny i świerki, klony i dęby wydawały się być mizerne, chore, tak jakby przez tę część pensylwańskiego lasu przetoczył się okrutny pożar. Dopiero dalej, wytężając wzrok, mogła dostrzec żywe i mokre od niedawnych deszczy gałęzie.

Na niektórych z nich, jeśli dobrze widziała, zwisały dziwne, geometryczne figurki z patyczków, obwiązane szmatkami i sznurkami. Wyglądały jak trójkąty, może coś takiego, a w środku był jakaś upiorna postać, ale nie widziała dobrze, co to jest.

Co tu się stało? Na jedną chwilę zapomniała o grozie sytuacji i górę wzięła jej wrodzona ciekawość.

Obróciła się znów, patrząc tym razem na trzech mężczyzn. Przeszli przez smugi światła padające z reflektorów i dostrzegła ich białe, powłóczyste szaty. Poczula ukłucie lęku, ale nie chciała wierzyć w to, co widzi. To nie mogło być możliwe. Nie tutaj, nie teraz.

Z przestraszeniem patrzyła, jak jej porywacze, nie spiesząc się, założyli spiczaste kaptury. Potem nasunęli na twarze puste, białe – białe? – maski, chociaż do Halloween były jeszcze dobre trzy tygodnie. Jeden udał się na tył samochodu, do bagażnika.

Dwóch pozostałych – wyższy i niższy, tylko tak można było ich rozróżnić – stanęło obok siebie i szeptało, a spętana jak zwierzę poczula nieprzyjemną, ciężką kulę lodu spływającą na dno żołądka. Ku Klux Klan w ciągu ostatnich lat tracił na znaczeniu; nikt nie spodziewał się, że jego członkowie

znowu zaczną porywać ludzi i linczować ich. Zwłaszcza w takim miejscu jak Pine Hills! Przecież to małe miasteczko!

– Nie! – krzyknęła, próbując się odsunąć. – Litości, proszę, już nawet nie chodzi o mnie, tylko o moje dziecko! – wołała rozpaczliwie. Na nikim nie robiło to jednak wrażenia, a już zwłaszcza na czwartej osobie wysiadającej ze studebakera. Oprócz samej ofiary była jedyną w tym lesie kobietą. Zaryzykowała więc i odwołując się do kobiecej natury i solidarności, ponowiła próbę.

– Proszę! Zrobię wszystko, tylko nie róbcie mi krzywdy! Nie róbcie krzywdy mojemu maleństwu, nie jest niczemu winne... – krzyczała, prosiła, błagała, a potem głos się jej urwał, gdy zrozumiała, kim ona jest. Znała ją! Znała jej miłą, bladą twarz! Kojarzyła jej krótkie, brązowe włosy, delikatnie podkreślone, budzące zazdrość u każdej kobiety! Dopiero teraz rozpoznała ten charakterystyczny akcent!

– Boże, nie... – szepnęła, szarpiąc więzy. Szatynka machnęła tylko ręką w kierunku porwanej. Podobnie jak jej towarzysze założyła spiczasty kaptur i bezosobową maskę z wąskimi szparami na oczy, nad którymi widniały małe haczyki, niby rogi. Wtedy dwóch mężczyzn podniosło sprawnie ciężarną, ciągnąc ją w stronę pniaka. Kobieta w kapturze i masce pomagała koledze przy bagażniku, szepcząc bez ustanku.

Chwilę później na polanie zapłonął krzyż, oświetlając wszystko czerwienią i pomarańczą. Opary mgły trzymające się granicy drzew cofnęły się pod wpływem ciepła i światła w jakiś nieznaną nauce sposób. Ciemnoskóra kobieta – dziewczyna właściwie, mogąca mieć nie więcej jak dwadzieścia, może dwadzieścia parę lat – leżała na pniaku, walcząc bez

powodzenia z krępującymi ją więzami. Zacisnęła mocno powieki, mamrocząc pod nosem, że to tylko zły sen. Koszmar.

Wysłuchując się w przytłumione, ciche rozmowy była bliska omdlenia ze zgrozy, w końcu jednak zmusiła się do rozchylenia powiek. Patrzyła na płonący krzyż i na swoich oprawców w białych szatach. Dopiero po chwili poczuła, jak coś ścisną jej gardło.

Myliła się.

Och Boże, jak bardzo się myliła! Zrozumiała, że to nie byli członkowie Ku Klux Klanu. Po nich przynajmniej wiedziała, czego się spodziewać, rozumiała ich pokrętną logikę, którą przecież kierowała nienawiść i strach właśnie. Ale ci ludzie? Te maski? Zdobienia na szacie kobiety? Stojący w płomieniach krzyż, tak podobny, ale zarazem inny? Teraz lęk przed nieznanym na nowo wypełnił jej umysł, podsuwając coraz to straszniejsze i upiorniejsze wizje.

Nie zwracali też na nią uwagi. O dziwo, byli zajęci płonącym krzyżem, który po dłuższym i dokładniejszym przyjrzeniu okazywał się być czymś mającym tylko podobny do krzyża kształt, ramiona bowiem zwisały nieco w dół, a na rozwidlonym szczycie widniało coś, co przypominało zwierzęcą, rogatą czaszkę z dopalającymi się resztkami futra i skóry. Koza albo byk, nie miało to jednak znaczenia. Ciężarną zemdliło, odwróciła więc głowę, patrząc w czern lasu.

Przez moment miała wrażenie, że coś się poruszyło między drzewami.

Wtedy usłyszała zduszony jęk pełen bólu. Zacisnęła mocniej powieki. Nie widziała zatem, jak jeden z mężczyzn zdejmuje zwierzęcą czaszkę z płonącego drewna i, trzymając ją za rogi, wznosi wysoko ku górze i intonuje jakąś pieśń w obcym

jej języku. Nie dostrzegła, jak kobieta odrzuca kaptur, a słaby wiatr unosi jej brązowe, kręcone włosy w powietrzu. Nie patrzyła, jak mężczyzna przykłada rozgrzane kości do kobiecej maski.

Nie mogła jednak pozbawić się zmysłu słuchu.

Starła się ze wszystkich sił, ale słyszała trzask ognia, cichy jęk oparzonego i jego ciężki oddech, a także – o zgrozo – śpiewy. Śpiewy przywodzące na myśl niedzielne msze, gdy wierni wraz z księdzem modlą się i śpiewają ku chwale Boga. Nie raz i nie dwa uczestniczyła w mszy w kościele Świętego Jana, słuchając chóru, ale to... to były okrutne dźwięki. Było w tym parareligijnym zaśpiewie coś nieprzyjemnego, bluźnierczego, od którego ciężarna czuła się tylko coraz gorzej.

– Błagam – szepnęła, widząc, jak kobieta w masce i wiszącej nań czaszce podchodzi z wolna do pniaka.

– Nie błagaj – odparła cicho, z o dziwo wyczuwalnym żalem. – Przepraszam, że padło na ciebie, naprawdę, ale nie mam wyjścia. Muszę to zrobić. Dla nas wszystkich.

– Proszę! Ja nic nie zrobiłam! – Kolejna próba przemówienia do rozsądku spełzła na niczym. Kobieta stojąca przed swą ofiarą podeszła jeszcze bliżej, nachyliła się. Czarnoskóra szarpnęła ciałem i odwróciła głowę; nie chciała patrzeć w kościane, czarne od płomieni oblicze.

– Kochanie, oddałeś się swojemu mężowi. Pozwoliłeś, by w twoim ciele rosło prawdziwe zło. Zrobiłeś więcej, niż sobie wyobrażasz, i właśnie dlatego to musisz być ty. – Słowa zmroziły ciężarną. – Przepraszam, naprawdę. Gdyby nie ty, to z pewnością inna zajęłaby twoje miejsce, uwierz mi – dodała po chwili drżącym głosem. Spętana ofiara, bo tymże najpewniej była, słysząc te słowa zapłakała, rzucając się na

niewygodnym, wypalonym pniaku. Szatynka machnęła znów ręką i wszyscy mężczyźni dopadli do czarnoskórej niby sępy, rozcinając jej więzy. Potem każdy z nich złapał biedaczkę za rękę lub nogę.

– Jesteśmy gotowi.

– Pospiesz się.

– Wierzę w ciebie. Dasz sobie radę.

– Dam – szepnęła po raz kolejny kobieta, dotykając w nad wyraz czuły sposób policzka ciężarnej. Cofnęła się o krok i odwróciła do krzyża, gdy ofiara – bo tak należałoby określić przyszłą matkę – znowu zaczęła krzyczeć i prosić. Zaintonowano kolejną dziwną pieśń w obcym języku, ignorowano jęki.

Kobieta spośród fałd szaty wyciągnęła nieduży nóż; czarnoskóra pisnęła przerażona i natychmiast przestała się wydierać. Patrzyła jak zahipnotyzowana. Broń ta wyglądała na zwykłe kuchenne narzędzie, ale im dłużej ciężarna się przyglądała, tym większe miała obawy.

Spostrzegła symetryczną, acz nieregularną klingę pokrytą jakimś dziwnymi znaczkami. Część z nich, co ze zgrozą musiała przyznać, zdawała się poruszać w rozedrganym świetle płonącego krzyża. Rękojeść natomiast była wykonana z wykrzywionego rogu jelenia, bladego jak sama kość. Zauważyła ten detal tylko dlatego, że dłoń kobiety w masce zaczęła drżeć, podobnie jak jej głos, gdy szeptała coś sama do siebie. A potem wyrwał się z jej gardła jęk bólu, gdy przesunęła ostrzem po wnętrzu lewej dłoni; na ziemię spadło kilka kropli krwi.

– Matko! – zawołali mężczyźni, trzymając mocno barki i ramiona ciężarnej.

– Matko, wzywam cię! Przyjmij ofiarę tę i spełnij nasze skromne prośby! Matko, starsza, mądrzejsza i płodniejsza niż

ludzkość, usłysz nas, objaw się nam, prosimy i błagamy... – Szatynka mówiła coraz głośniejsze, aż w końcu prawie krzyczała. Porzuciła też zrozumiały, angielski język, przechodząc płynnie w inny, obcy dialekt. Gardłowy, nieprzyjemny, chrapliwy, jednoznacznie kojarzący się z jakimś zwierzęcym niemal skrzekiem.

Krwawiącą dłoń przycisnęła do koziej czaszki wiszącej na masce. Ciężarna wzdrygnęła się, widząc czerwony odcisk na osmolonej kości. Przez jakiś czas kobieta intonowała ohydny pieśń, a potem zamilkła. Słysząc było jedynie trzask ognia, aż w końcu coś zaszeleściło w lesie. Wiatr, można by sądzić, ale jesienne powietrze było wilgotne, ociążałe, zbyt słabe, by poruszać koronami drzew tak mocno.

Czterech szaleńców w dziwacznych szatach nie zwróciło początkowo uwagi na to poruszenie – ich ofiara, porwana kobieta, przeciwnie – po chwili jednak z lękiem na twarzach zaczęli się rozglądać dokoła. Jeden z nich, ten z poparzonymi dłońmi, skinął głową do szatynki. Ponaglał ją.

– Jezu nasz, Ojczy Świąty, Maryjo i Józefie, wszyscy święci, proszę, błagam, Panie Boże, miejcie mnie wszyscy w opiece... – W odpowiedzi na bluźniercze modły przebranej kobiety i wtórujący jej chór mężczyzna ciężarna zaczęła się modlić cicho, skromnie, nieśmiało. Bała się nie tylko ich, ale i tego, co mogło się czaić w lesie.

Bo coś tam było, nie miała już wątpliwości.

Zakapturzony mężczyzna również wyjął nóż, ten jednakże wyglądał jak pierwszy lepszy z kuchni – ciężarna dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że to może być nóż z jej własnej kuchni. Zadrżała, gdy porywacz ostrożnie rozciął koszulę nocną odsłaniając ciemne, nagie i nabrzmiałe ciało kobiety.

Dotyk zimnego metalu na spoconej ze strachu skórze powodował gęsią skórkę. Porywacz rozerwał materiał ubrania i mamrocząc pod nosem jakieś niezrozumiałe słowa, rozciął bieliznę, odsłaniając łono porwanej. Ta zaczęła się szarpać i wrywać, ale bez skutku. Czuła nie tylko grozę, ale i wstyd.

Krzyknęła ze strachu, gdy kobieta w czaszce stanęła u jej stóp, zajmując miejsce mężczyzny z nożem wzniesionym nad głową. Wyśpiewała kolejne wersy mrocznego psalmu. Na moment zamilkła. Potem upadła na kolana, nagle, gwałtownie. Wahala się. Było to widać aż za dobrze nawet w tak nikłym świetle płonącego krzyża.

– Pospiesz się! – syknął jeden z mężczyzn, spoglądając lękliwie w stronę lasu.

– Mogę cię zmienić – dodał drugi.

– Nie – ucięła ostro kobieta. – Wiecie dobrze, że muszę to zrobić sama. Dam radę. Muszę – stwierdziła po chwili łamiącym się głosem. Kiedy jednak przesunęła ostrzem po skórze ud biednej kobiety, w stronę opuchniętego, wilgotnego sromu, sama się wzdrygnęła. Cofnęła nóż.

Wtedy ciężarna zrozumiała, że już jest po wszystkim. Umrze tutaj. Poparzony mężczyzna szepnął coś do kobiety, ta skinęła głową i przyłożyła nóż do brzucha. Chwilę potem pojawiła się pierwsza kropla krwi, potem kolejna i następna, gdy rozcinała skórę tuż poniżej pępka, aż do samego spojenia łonowego. Krew spływała gęstym, coraz szerszym strumieniem.

Piekło i szczypało, ale ból ten nie mógł się równać ze strachem. Adrenalina skutecznie maskowała cierpienie, przynajmniej z początku. Ciężarna już po chwili bowiem wydała z siebie donośne jęknięcie, gdy nóż rozcinał jej skórę i zagłębiał się w ciało, przecinając kolejne warstwy: tłuszcz, mięśnie

i ścięgną. Potem krzyknęła po raz pierwszy. Szatynka prze-
rwała ten okrutny zabieg, gwałtownie cofając zakrwawioną
dłoń i nóż, szybko się jednak opanowała i kontynuowała.

Tego samego nie można było powiedzieć o ofierze. Była
zbyt przerażona, obolała, by zdać sobie sprawę z tego, co się
właściwie wydarzyło. Dopiero po chwili, gdy klinga sztyle-
tu wciniała się coraz głębiej w jej trzewia, poczuła prawdziwy,
pierwotny wręcz ból. Wrzeszczała z obezwładniającego cier-
pienia co sił w płucach, lecz męki przybierały na sile z każ-
dą kolejną chwilą. Balansowała na granicy przytomności, co
i rusz zatapiając się w mrok, gdy ostrze rozcinało jej wnętrze.
Co gorsza, cierpienie i tak nie mogło się równać z tym, co
dopiero miało nadejść.

Nocną ciszę, oprócz jęków ciężarnej, przerwało nagle
kwilenie dziecka. Niemowlęcia siłą wyrwanego z ciała matki.
Ostatnią rzeczą, nim ośwładnęła ją zimna i nieprzyjazna ciem-
ność, był widok samotnej, spadającej gwiazdy. Z chwilą, gdy
zetknęła się z linią horyzontu, znikając za szczytami drzew,
zaśniła mocniej, choć trwało to tylko jedno, krótkie – i ostat-
nie – uderzenie serca kobiety.

Płacz malca ustał moment później.

Nad polaną zapadła namacalna wręcz cisza i upiorny spo-
kój. Słaby wiatr zniknął, korony drzew przestały się poruszać
i drzeć, nawet nieliczne chmury zwolniły swój taniec na ciem-
nym niebie. Wszystko zamarło.

– Udało się? – zapytał nieśmiało jeden z mężczyzn cicho,
jakby z lękiem.

– Miejmy taką nadzieję – odparła słabo kobieta. – Ofia-
ra została złożona, teraz musimy przygotować pieczęcie.
Ephraim, dasz sobie radę? Paul, wiesz co masz robić? Larry?

Walton? – zaczęła zwracać się bezpośrednio do każdego głosem ciepłym, łagodnym, błagalnym wręcz. Drgnęli, słysząc swoje imiona.

Wkrótce siedzieli w samochodzie, już bez masek, bez kapturów. Uroczyste białe szaty, obficie zroszone krwią, odcinały się od skromnego, acz czystego wnętrza studebakera. Atmosfera była ponura, grobowa wręcz. Nikt się nie odzywał. Byli bladzi i przerażeni tym, co się właśnie wydarzyło. Chuda, drobna kobieta cierpliwie opatrywała swoją lewą dłoń, zawijając ciasno bandaż. Na nieskazitelnym, białym materiale widniała pojedyncza wstęga krwi.

Chwilę później zajęła się poparzonymi dłońmi swego kolegi. Ten przysadzisty mężczyzna w okularach i z niewielkim plackiem łysiny pośród ciemnych kędziorów dyszał ciężko i ze strachem spoglądał na oparzenia; skóra pokryta była pęcherzami i bąblami, czerwona, wrażliwa.

– Przepraszam, Ephraim – szepnęła, zaciskając ranną dłoń w pięść. Skrzywiła się lekko, ale nie przeszkodziło jej to sięgnąć do torby lekarskiej.

– Nie twoja wina. Sama nie mogłaś tego zrobić.

– Wiem, ale...

– Już się nie tłumacz – dodał kolejny z mężczyzn, wyższy, ale mówił cicho, wstrząśnięty niedawnymi wydarzeniami.

– Ja to cię podziwiam. Nie dałbym rady.

– Ja nie dałabym rady bez was.

– Ale musiałaś... no wiesz... – zaczął nieśmiało niższy z nich.

– Tak, Paul. Tego wymagał rytuał.

– To była najgorsza część – odezwał się poparzony. – Pieczęcie i cała reszta to tylko formalność, ale jestem pewien, że wytrzymają. Czulem ich moc, wiecie?

Zapadła niezręczna cisza. Szatynka uśmiechnęła się słabo, patrząc w oczy swym kolegom i dziękując w ten sposób za miłe słowa. Szybko i sprawnie opatrzyła rany okularnika, szepcząc mu, by mimo wszystko poszedł do lekarza i do szpitala, bo nie spodziewała się aż takich komplikacji.

– No. Inaczej się nie dało – stwierdził siedzący za kierownicą brunet pewnym siebie głosem. Z kieszeni wyciągnął srebrną papierośnicę z grawerunkiem, inicjałami PL. Niespiesznie zapalił papierosa; potem poczęstował wszystkich pozostałych. Jedynie kobieta odmówiła.

– Koniec tematu. Jedźmy stąd, zanim to cholerstwo wylezie z lasu – rzucił okularnik, oglądając świeży opatrunek.

– Skąd pewność, że w ogóle przyjdzie?

– Rytuał się udał – zapewniła kobieta cicho, walcząc z ciężarem ostatnich wydarzeń.

– I jest cicho. Zawsze jest cicho, gdy idzie. A łapacze powinny... zadziałać.

– Powinny? – zapytał bez przekonania.

– Tak – odparł tamten. – Same w sobie dają ochronę, ale teraz, gdy zostały oblane krwią... no, zbezczeszczone, jeśli wolisz... będą pułapką. Jeśli wejdzie, to już nie wyjdzie.

– Jeśli...

– Hej, nigdy tego nie robiłem.

– To był mój drugi raz – podsumowała cichym głosem kobieta. – Pierwszy... nie skończył się dobrze. Wynośmy się. Fred pewnie na nas czeka.

Studebaker strzelił z rury wydechowej, wyrzucając w nocne, wilgotne powietrze chmurę spalin. Chwilę później zniknął pośród drzew, wracając tą samą drogą, którą przyjechał. Mgła się rozpierzchnęła, chmury natomiast zanikały, ukazując ciemne,

rozwieżdżone niebo i księżyc w pełni. Jechali w milczeniu przez długi, długi czas, zostawiając za sobą miejsce zbrodni.

– Zrobiłeś to? – Kobieta zapytała na powitanie, wysiadając ze studebakera i zмирzając prosto do czarnego chevroleta. Automobile zaparkowane były gdzieś na obrzeżach lasu, daleko od tartaku i miasta; w tle słyсhać było szmer płynącej wody i pohukiwanie sowy. Krzyżujące się światła reflektorów tańczyły na powierzchni Susquehanny.

– Tak – odparł zmęczonym głosem niski, ponuro wyglądający jegomość o zmierzwionych włosach, w brudnych, zaniedbanych ubraniach. Siedział na przednim błotniku i zapalił papierosa. Płomień tańczący na końcówce łebka zapalki oświetlił mu twarz, uwypuklając ogorzałe rysy. Moment później srebrzysty, tytoniowy dym uniósł się ku niebu.

Odpowiedź ta najwyraźniej zadowoliła kobietę, bo westchnęła z ulgą.

– Wyciąłeś na skórze symbol? Złamany krzyż? Rozsypałeś ochronny krąg i zrobiłeś glify? Bo jeśli nie... – zaczął okularnik, uważając na zabandażowane dłonie podczas wysiadania ze studebakera.

– Nie jestem idiotą, Holland – burknął palacz, strzepując popiół. – Jak tylko zaparkowałem, to zrobiłem mu ten znaczek. Sypnąłem też popiołem, solą, mąką czy co to było, a cegłówkę odbiłem w piachu i zaśpiewałem piosenkę jak jakiś świr, tak jak kazałaś. A teraz pieniądze. Obiecałaś, że mi zapłacisz – zwrócił się do szatynki.

– Mąka, cegłówka? – obruszył się tamten. – Proch, stempel i pieśń! Ty wiesz, ile ja się tego naszukałem? – rzucił agresywnie okularnik, ale zanim zdołał coś jeszcze powiedzieć, kobieta uśmiechnęła się szeroko, promieniejąc ze szczęścia.

Szybko wyjęła z kufra samochodu papierową torbę; sprawdziła zawartość i po chwili zadowolona wręczyła zapłatę. Na widok kilkunastu banknotów mężczyźni rozświetliły się oczy.

Szatynka zaś, nie przejmując się niczym, ściągnęła przez głowę okrwawiony habit.

Stała naga, a mimo niskiej temperatury jej skórę pokrywał pot. W nikłym blasku można było zauważyć, że miała smukłe ciało, może nawet trochę wychudzone, do tego między drobnymi piersiami widniał wymalowany na skórze skomplikowany piktogram. Nijak nie wydawała się zawstydzona obecnością towarzyszących jej mężczyzn. Oni również nie zwracali uwagi na fakt, że kobieta obok się obnażyła.

Rozmowa jednak się urwała. Odwrócili się z czystej przyzwoitości.

Spośród pięciu mężczyzn jeden – niski, szczupły szatyn, ugniatający nerwowo brzég mnisiego habitu w dłoniach – odwrócił ze wstydem wzrok i odszedł na parę kroków. Zachowywał się tak, jakby bał się spojrzeć na jej nagość. Nawet w słabym świetle księżycy widać było, jak rumieniec oblewa mu twarz.

– Paul, skarbie, nigdy nie widziałeś nagiej kobiety? – zapytała ranna szatynka, trzęsąc się z zimna. Próbowwała zmienić temat, bo dyskusje dotyczące ostatnich wydarzeń były bardziej niż przykre. Niezbyt jej to wyszło z powodu październikowego chłodu. Dwóch mężczyzn sięgnęło do kufra chevroleta i wyciągnęło gruby płaszcz, narzucając go na ramiona nagiej.

Kilka chwil później, pośród wymuszonego śmiechu i równie nienaturalnych docinków – a przecież niedawno zamordowali ludzi, odprawili jakiś bluźnierczy rytuał! – zapakowali

się do samochodów i ruszyli w drogę. Milczeli, odzywając się tylko wtedy, gdy było to konieczne. Wkrótce kierowca studebaker zjechał do zaułka niedaleko starego kościoła, od strony cmentarza oraz kilku niedużych, ale już opuszczonych szop i stodół, po czym przesiadł się do chevroleta.

Spieszyli się, ale ruchy mieli wyćwiczone, mechaniczne wręcz. Tak jakby robili to wszystko nie pierwszy już raz, co tylko potęgowało absurdalną grozę sytuacji. Musieli jednak porzucić wóz i uciec, zanim ktoś ich zauważy.

Dopiero teraz, będąc w drodze przez przedmieścia Pine Hills, pozostali pasażerowie ściągnęli białe szaty, lecz pod spodem mieli zwyczajne ubrania. Tweedowe spodnie, szelki, marynarki i grube swetry, białe koszule, a jeden nawet krawat. Wcisnęli zmięte habity pod nogi, skręcając w wąską, zalesioną alejkę.

Byli bezpieczni. Gdy przysięgli, że nikomu nie powiedzą o wydarzeniach mijającej nocy, rozpieczęli się w świetle księżyca. Z poczuciem dobrze spełnionego, choć okrutnego obowiązku, zniknęli, by wkrótce oddać się w objęcia Morfeusza.

Zasłużyli na odpoczynek.

Zasnęli w swoich łóżkach, w swych domach i mieszkaniach zmęczeni, ale zadowoleni i pełni nadziei na lepsze jutro. W końcu dokonali czegoś strasznego, ale wspaniałego i wielkiego zarazem, prawda?

Rozdział 2

– ...więcej grzechów nie pamiętam i za wszystkie żałuję, proszę ojca o naukę, pokutę i rozgrzeszenie – wyszeptał niski, chudy brunet, z niedbale ogoloną twarzą i ponurym, zmęczonym spojrzeniem. Klęczał, miał zaciśnięte mocno powieki i trwał bez ruchu, niby posąg. Oddychał płytko i wolno, oczekując niecierpliwie słów spowiednika.

Te, jak na ironię, pojawiły się dopiero po chwili dłuższego milczenia.

– Bóg nasz, Ojciec i Pan, pojednał świat ze sobą poprzez śmierć i zmartwychwstanie Syna i wysłał Ducha Świętego na odpuszczenie wszelkich grzechów. Niechaj udzieli ci przebaczenia i pokoju, tak jak i ja przez posługę Kościoła odpuszczam twoje grzechy, w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego. Módl się za siebie i swych bliskich w wierze poprzez tuzin Modlitw Pańskich.

– Amen – burknął od niechcienia penitent.

– Mówię to podczas każdej spowiedzi, Harvey. To nie twoja wina, nie twój grzech, nie twój krzyż – odparł spokojnie ksiądz, stukając w konfesjonał. – Nigdy jednak nie zrozumiałem, czemu nie przyjdiesz w niedzielę, tylko w poniedziałek z samego rana. – Harvey Sullivan, grzesznik, wykonał znak krzyża. Wstał niezdarne z klęczek i ucałował sułę. Nie odpowiedział na pytanie, po prostu rzucił księdzu puste spojrzenie. Kapłan westchnął i stłumił ziewnięcie; było wcześniej. Bardzo wcześniej.

– Niedziela jest dla wiernych, proszę księdza. Nie dla grzesników – odezwał się po chwili, odchodząc od konfesjonału.

– Jesteś przecież jednym z parafian, Harvey. Ile już tutaj mieszkasz? Pięć lat? Sześć?

– Sześć. Wie ksiądz, ja...

– Mieszkasz tutaj sześć lat. Oprócz mnie i tego pismaka nie masz nikogo bliskiego. Świata nie widzisz poza swoją pracą i kościołem, na początku listopada będziesz obchodził swoje czterdzieste urodziny, a zachowujesz się jak...

– Proszę księdza – jęknął, przerywając kapłanowi.

– No dobrze, już nic nie mówię. W tę niedzielę masz przyjść na mszę i do spowiedzi, dobrze? To twoja dodatkowa pokuta – dodał nieco weselszym tonem, z którego można było wyłuskać obcy, irlandzki akcent. Ojciec Owens wyszedł z konfesjonału, a że był postawnym, choć nieco otyłym duchownym, to sapnął z ulgą. W ciasnym, drewnianym wnętrzu panowała duchota nawet mimo jesiennych chłódów.

Niespiesznie odprowadził ponurego parafianina do najbliższej ławki. Usiedli razem, jeden obok drugiego, pogrążeni w modlitwie i zadumie. Odpokutowanie grzechów – win, do których przyznał się Sullivan – zajęło kilkanaście minut, zanim u drzwi kościoła pojawili się kolejni.

Ksiądz przerwał modły i, jak przystało na gospodarza Domu Bożego oraz pasterza, ruszył na powitanie owieczek. Chwilę potem wstał Harvey i z pochyloną głową skierował się ku wyjściu. Sullivan poprawił płaszcz i niespiesznym krokiem ruszył w dal. Gdy poczuł pierwszych kilka kropli jesiennego deszczu na twarzy, szybko nasunął na głowę fedorę i przyspieszył kroku. Ciemna, szara wełna była dobrym

materiałem, chroniła przed nadmiernym chłodem, ale prędzej czy później będzie musiał wyciągnąć z szafy zimowy płaszcz.

Tym bardziej że nie miał samochodu. Nie lubił ich od tamtego pechowego wieczoru, z którego się regularnie spowiada. Wolał zresztą długie spacerować. Wychodził z założenia, że nic tak dobrze nie działa na zmęczony umysł, jak szczerza spowiedź i długi spacer. No, może jeszcze papieros. Ale to wszystko, nic więcej.

A już na pewno nie kieliszek czegoś mocniejszego.

Na jego szczęście najbliższy pub, „Axe”, znajdował się spory kawałek od kościoła, więc nie musiał walczyć z pokusą. Wyrwał się ze szponów tego demona jeszcze w czasie prohibicji i był jednym z nielicznych, którzy chwalili sobie tę ustawę. Oczywiście dostrzegał jej liczne wady, ale potrafił też docenić zalety.

Podobnie było z wiarą.

Zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko dymem i zaczął rozmyślać o tym, co czeka go w domu. Kilkupiętrowa kamieniczka w ścisłym centrum Pine Hills była jego schronieniem, oazą spokoju w tym pełnym zła i niebezpieczeństw świecie, ale nade wszystko miejscem pracy.

Nie przekroczył progu, zamiast tego uważnie przyjrzał się rynnie i beczce z chlupoczącą deszczówką, sprawdził, czy piwniczne okienka, do których wsypywano opał, były zamknięte i czy nikt nie wyłamał zamków w tylnych drzwiach od strony zagraconego i błotnistej podwórza. Zerknął też na zaparkowane tam automobile; oba fordów w najszlachetniejszym modelu Henry'ego stały grzecznie, całe i zdrowe, stare, ale sprawne.

Do piwnic budynku można wejść dwiema drogami: od środka oczywiście, przez klatkę schodową, ale też tędy. Tyłem.

Dbanie o bezpieczeństwo dobytku przechowywanego w komórkach lokatorskich nie było obowiązkiem Sullivana. Nie pracował jako dozorca, ale pan Neumann, pełniący także obowiązki, cenił sobie pomoc. I czasem przymykał oko na nieścisłości i zwłokę z czynszem.

Harvey więc raz jeszcze obszedł budynek, znów sprawdził wszystko i dopiero wtedy, po łącznie trzech wypalonych papierosach, wszedł na ciemną, ciasną klatkę schodową, otrząsał płaszcz z deszczu, poluzował krawat i rozpoczął mozolną wspinaczkę na ostatnie, czwarte piętro.

Przy drzwiach czekała na niego niespodzianka w pełnym tego słowa znaczeniu. Zatrzymał się z kluczem w garści i wyrazem zdziwienia zastygł na twarzy. Przed drzwiami jego mieszkania stała bowiem niziutka, drobna blondynka w przydużym płaszczu z tweedu narzuconym na ciemny, brązowy sweter i kawową spódnicę do połowy łydek. Ścisnęła w dłoniach kapelusik, który wydawał się niemal czarny od wody, choć pewnie miał kolor kawy czy beżu.

Dziewczyna spoglądała na mosiężną tabliczkę i raz za razem poprawiała niesforne, kręcone kosmyki opadające na twarz. Drzwi, jak każde w tej czynszówce, ozdobione były dużymi numerami: te konkretne jednak miały też drugą tablicę, nieco mniejszą, zawierającą tylko nazwisko i litery: „Sullivan PI”.

Harvey aż za dobrze widział rumieńce na jej białych policzkach. Odchrząknął, poprawił klucze w garści, czyniąc z nich namiastkę kastetu (nawyk, którego nie był w stanie się pozbyć mimo tylu lat) i zrobił krok do przodu. Nie mogła

przecież czekać na niego, prawda? Była za młoda. To jeszcze dziecko! Co gorsza, wyglądała prawie tak samo jak ona.

Jak jego młodzianka siostra. Wzdrygnął się, nie chcąc wracać do bolesnych wspomnień.

Z drugiej jednakże strony, na czwartym piętrze z trzech mieszkań tylko w dwóch ktoś mieszkał. Pierwsze, o numerze czterdziestym pierwszym, zajmował stary i wulgarny Żyd, Aaron Rosenstein. Drugie, pod numerem czterdziestym drugim, stało puste, odkąd tylko Harvey się tu wprowadził. Trzecie i ostatnie należało do Sullivana.

– Panienska chyba się zgubiła, panno...? – zadał uprzejme pytanie. Spróbował się nawet uśmiechnąć, ale niezbyt mu wyszło, bo blondynka zaczerwieniła się jeszcze bardziej i mruknęła coś pod nosem. Cicho, niewyraźnie, niemal z obawy przed mężczyzną, który mógł być w wieku jej ojca.

– Proszę? – powtórzył, starając się, by jego głos brzmiał nieco przyjaźniej, cieplej.

– Pan Harvey Sullivan? Detektyw?

– Tak, to ja. – Kiwnął głową, teraz naprawdę już zaintrygowany, skąd ten podłotek wiedział, kim jest.

– Pomoże mi pan? Pan Newman powiedział, że mieszka pan na górze i...

– Neumann. – Odruchowo poprawił nazwisko dozorczy i kucnął, by choć trochę zrównać się z nią wzrostem. – Dziecino, ja nie mam bladego pojęcia, kim ty jesteś i czego ode mnie chcesz.

– Och... przepraszam. – Zaciśnęła mocniej palce na kapeluszu. – Przepraszam, ja... nazywam się Pearl Flynt. Moja siostra zniknęła.

Te trzy słowa były jak celnie wymierzony policzek. Harvey westchnął ciężko i przymknął na moment powieki. Wyprostował się i choć niedawno wypalił kilka papierosów z rzędu, znów sięgnął do paczki lucky strike'ów.

– Dziecino, skąd w ogóle pomysł, że mogę ci pomóc? Myślisz, że kim ja jestem?

– No bo Jenna mówiła, że jej dziadek był detektywem i pomagał ludziom i że powinnam sama poszukać detektywa, a wuj Ed mówił, że w Pittsburghu raz firmie jego szefa pomógł pinkertończyk¹ i jak moja siostra zniknęła, a pan Stevens nie dał rady jej znaleźć, a Jenna mi przypomniała, to zaczęłam szukać i znalazłam w końcu pana i...

– Powoli – przerwał jej ostro. – Jeszcze raz. Twoja siostra zaginęła? Gdzie? Jak? – Zbyt ostro, bo blondynka aż się skuliła i cofnęła, uderzając plecami o ścianę. Harvey zrugął się w duchu za ten wybuch. Nie chciał straszyć dziewczyny. Nie teraz.

Nie zwrócił nawet uwagi na chaotyczną spowiedź o koleżance, jej dziadku czy wuju. Nie wspominając już o szeryfie. Nie wiedział, o czym rozmawiają teraz nastolatki, ba, w latach dwudziestych tylko raz uczestniczył w prywatce (jak się okazało, była skupiona na alkoholu i pettingu) i srogo tego żałował. Och, jak ten czas poszedł naprzód!

– Nie wróciła do domu! – jęknęła.

– Och, na litość... – Opuściła głowę, zestresowana, ale i pełna nadziei. – No cóż. Wchodź. Nie będziemy stać na korytarzu – zdecydował po chwili niekomfortowego milczenia. Cisza trwała zresztą znacznie dłużej, bo Harvey najpierw

¹ Członek Pinkerton National Detective Agency, przedsiębiorstwa zajmującego się ochroną mienia i osób oraz realizującego zlecenia detektywistyczne.

zamknął za sobą drzwi na klucz, potem schował do szuflady jedną, jedyną fotografię w ramce, jaka zdobiła biurko. Obdarzył Pearl słabym uśmiechem, a potem zaparzył kawę. Otworzył szeroko okno, wpuszczając do środka zimne, wilgotne powietrze. Gdzieś w oddali zaszczekał pies. Ktoś trąbił. Z jakiejś rury wydechowej z hukiem wystrzeliły spaliny. Typowe odgłosy miasta, odpowiednio jednak przeskalowane do rozmiarów małego miasteczka.

Dopiero gdy Harvey wypalił papierosa i nalał dwie kawy, ruchem głowy zachęcił dziewczynę do wyjaśnienia, kim jest, skąd i po co tu przyszła. Nie usiadł, stał z filiżanką w dłoni, opierając się o blat, i czasem z niej popijał, patrząc prosto w oczy swego gościa. Nie przerywał, nie dopytywał się. Nie zdjął nawet płaszcza, marynarki. Z uwagą wysłuchał opowieści podlotka. Typowej. Bolesnej. Beznadziejnej. A tych słyszał już mnóstwo.

Domyślał się już zawczasu, co może usłyszeć od tego zdesperowanego dzieciaka, i wcale się tak bardzo nie mylił. Różnicą były oczywiste szczegóły, których nie wziął pod uwagę; pewnych rzeczy nie da się zapomnieć, zignorować. Pine Hills to nie Pittsburgh, niestety.

Albo na szczęście.

Okazało się bowiem, że mniej więcej miesiąc temu jej siostra, Patty, zniknęła. Poszła do kościoła na wieczorną mszę, ale nie dotarła do celu. Przepadła jak kamień w wodę. Poszukiwania trwały ponad dwa tygodnie, prasa się rozpisywała, w końcu biuro szeryfa się poddało, przekazano sprawę Pennsylvania Motor Police, ale policja stanowa nic z tym nie zrobiła. To w końcu tylko jedna zaginiona dziewczucha z małego miasteczka.

Kto by się tym przejmował? To tylko kolejne nazwisko na niekończącej się liście. Do zapomnienia przez każdego.

Ale nie przez Pearl. Pearl się tym przejęła. Bardziej niż jej rodzice, bardziej niż policja. Bardziej niż ktokolwiek i teraz, gdy tak siedziała w jednym z dwóch foteli w mieszkaniu i szlochała cicho, obejmując filiżankę kawy, Harvey poczuł ukłucie żalu. Musiał jednak powiedzieć jej prawdę, a ta, choćby okrutna i bolesna, była lepsza niż najpiękniejsze kłamstwo.

– Nie mogę ci pomóc.

– Ale... Jenna mówiła, że można ufać detektywom i że oni pomagają ludziom; że jej dziadek był... a wuj Ed...

– Nie możesz wierzyć we wszystko, co mówią dorośli i dzieciaki.

– Patty zniknęła! – jęknęła głośniejsz, zanosząc się szlochem.

– Rozumiem i współczuję, naprawdę, ale dziecino, minął już miesiąc, a przez ten czas... – dodał, od razu żałując tych słów.

– Czyli wie pan, o czym mówię. Nikt nie chce jej szukać, a ona już może... ona... Ja się o nią boję, proszę, niech mi pan pomoże! Mam pieniądze... – mówiąc te słowa i przetykając łzy, odstawiła filiżankę, rozlewając parę kropel kawy. Roztrzęsioną dłonią sięgnęła do wnętrza małej torebki, właściwie sakiewki, której wcześniej Harvey nie zauważył.

Wyjęła garść drobnych monet. Jeden rzut oka wystarczył, by zdać sobie sprawę, że tam nie ma nawet trzech dolarów. Mimo to ten gest wzruszył Sullivana. Harvey westchnął i odsunął jej dłoń. Uśmiechnął się nawet, chcąc poprawić choć odrobinę ponury nastrój swojego gościa. Drobne usteczka jednak zadrzały, gotowe znów wyc w płaczu i rozpacz.

– Pearl – szepnął. – To jest poważna sprawa, rozumiesz? Trudna, bardzo trudna, a twoja siostra może... No, twoja siostra może być już martwa, musisz się z tym liczyć. Jedyne, co mógłbym zaoferować, to pomoc w szukaniu ciała. Wiem, że pewnie myślisz, że jestem jakimś bohaterem groszowej powieści albo komiksów, ale... to nie tak.

– Nie?

– Nie, dziecino. Już nie.

– To... nie pomoże mi pan? Zapomni pan o Patty, tak jak wszyscy?

– Tego nie powiedziałem.

– Nie rozumiem.

– Zrobię, co mogę, ale niczego nie obiecuję. Nie wezmę od ciebie pieniędzy. Zostaw mi tylko adres swoich rodziców i numer ich telefonu... Macie aparat telefoniczny, prawda? – skinęła głową. – Pearl, po takim czasie to będzie jak szukanie igły w stogu siana, w nocy, podczas jednej z tych przeklętych burz pyłowych, rozumiesz? – Nie wiedział, czy to, co właśnie powiedział, miało dla niej sens, ale dla niego jak najbardziej.

– Dziękuję – odezwała się po chwili, gdy zapisała kilka słów.

– A teraz znowu, tylko od początku, powoli i dokładnie wszystko mi opowiedz, dobrze? – Sullivan zerknął tylko na kartkę. Ponownie wysłuchał jej opowieści, tym razem jednak zadając pytania i zapisując odpowiedzi, tworząc fundamenty pod śledztwo. Dopiero potem, po długim czasie, bez słowa odprowadził podlotka do drzwi. Gdy był już sam, wyjął fotografię. Prosta, drewniana ramka obejmowała zdjęcie młodego Harveya i młodej dziewczyny, łudząco do niego podobnej. Jego siostry.

Detektyw uśmiechnął się lekko. Przeleciał wzrokiem świeże notatki.

Zaczął się modlić szeptem. Za siebie, za dziewczynę, za swoją zmarłą siostrę, którą widział przecież w Pearl. Przypominała mu ją, chociaż różniła się wyglądem. Ale charakter, och Boże, charakter był praktycznie taki sam. Pyskata, krzykliwa, płaczliwa.

Perspektywa zajęcia się kolejną sprawą ekscytowała go. Był przecież prywatnym detektywem. Wcześniej, przez ponad dekadę, parał się tym zajęciem, był całkiem znanym w pittsburskim świecie członkiem Pinkerton National Detective Agency, a w czasie wielkiej wojny walczył w Europie, we Francji, Belgii. Ale teraz...?

– Co ja mam teraz zrobić, Boże? – zapytał szeptem, patrząc na krucyfiks wiszący nad łóżkiem. Sprzątnął dwie filiżanki; dziewczyna ledwo upiła łyk ze swojej, nim ją odprowadził. Zamknął okno, odwiesił płaszcz i usiadł w fotelu przy tanim biurku. Przyniósł notes, znów przeczytał treść, zapisał kilka kolejnych słów. Wyrwał stronę, zapisał coś od nowa.

Jego pierwsze przemyślenia dołączyły do zeznań. Do tego, co powiedziała mu Pearl. Było tam imię i nazwisko zaginionej, jej rodziców. Dwie daty, kiedy mniej więcej zniknęła i kiedy Pearl go odwiedziła. Jaka była Patty, jak się zachowywała przed zaginięciem. Kto był zaangażowany, rodzina, policja stanowa, biuro szeryfa i... on sam. Nie chcąc jednak nadmierne rozmyślać o Pearl ani pisać bzdur, przerwał pracę. Usiadł ze Starym Testamentem na łóżku, zerkając na krzyż.

Oddał się lekturze, szukając ukojenia albo, co wcale niewykluczone, porady.

Rozdział 3

Do domu wrócił nad ranem. Zmęczony, skacowany, senny, ale szczęśliwy. Och, bardzo szczęśliwy. Wiedział, że źle zrobił, ale nic go to nie obchodziło. Alkohol dawał mu ukojenie, pomagał; sprawiał, że świat na krótko stawał się przyjemniejszy.

Zataczając się, mijał trzeźwych ludzi zmierzających do pracy czy po prostu spacerujących. Miał gdzieś ich pełne odrazy spojrzenia, ba, nie zorientował się nawet, że podjazd przed domem jest pusty. Automobil Teddy'ego, szwagra, zniknął. Uznał, że Teddy mógł przecież pojechać na zakupy czy do klubu, do pracy. Zatrzymał się więc przed drzwiami i zastukał knykciami raz, drugi. Potem, gdy odczekał chwilę, załomotał pięścią, ale i tym razem odpowiedziała mu cisza. Szarpnął za klamkę.

Zamknięte.

Zaklął pod nosem, znów szarpał klamkę. Machnął ręką na jednego z przechodniów, dopytującego się z troską, czy wszystko w porządku. Wiedział, że to fałszywa troska, że ten biały idiota po prostu sprawdza, czy Moses Casey nie próbuje się włamać. Nie miał kluczy, bo jego bliscy po prostu nie ufali mu na tyle, by obdarować go kopią kompletu.

I nie było się co dziwić, był przecież pijakiem. Znajdował się na dnie i tylko dzięki więzom krwi mógł tutaj mieszkać. Burknął coś pod nosem, przykleił twarz do szyby najbliższego okna i spróbował dostrzec jakieś poruszenie w domu.

Było cicho, spokojnie. Pusto. Nie mając zbyt wielkiego wyboru, odszedł od wejścia. Wiedział, że na tyłach, przy kuchni, jedno okno się nie domyka i przez nie może spokojnie wejść do środka. Robił tak zawsze. Specjalnie go nie naprawiał, nie mówił też o tym szwagrowi ani siostrze. To była jego tajemnica. Zachichotał rozbawiony tymi myślami.

Zatrzymał się jednak gwałtownie w pół drogi do wspomnianego okna. O dziwo, kuchenne drzwi były otwarte. Uchylone bardziej, niż można by uznać za przypadek. Był jednak zbyt zmęczony i pijany, by zrozumieć, co się wokół niego działo, skorzystał więc z okazji i wszedł po prostu do środka, znów chichocząc jak głupi.

Starał się zachowywać cicho, ale alkohol ciągle krążył w jego żyłach. Potknął się o krzesło – zaklął cicho, nie zdając sobie sprawy, że krzesło, na którym zwykle siedział, pijąc kawę i żartując z siostrą, leżało przewrócone. Nie dostrzegł pootwieranych szuflad, szafek, porzrzucanych niedbale artykułów, śladów błota na korytarzu.

Idąc do swojego pokoju, zerknął jeszcze na odbicie w krzywo zawieszonym lustrze i poczuł ukłucie pijackiego wstydu, że doprowadził się do takiego stanu. Kiedyś był przystojny i nawet młode białe kobiety, głównie flapperki², z ciekawością się za nim oglądały. Teraz... no, był wysoki. I tyle.

Był chudy, nawet bardzo, do tego żyłasty ponad miarę i miał garbaty, krzywy i wielokrotnie złamany nos. Podkrążone oczy, cień zarostu na policzkach i włosy w nieładzie, podobnie jak brudne i znoszone ubranie dopełniały obrazu nędzy i rozpacz. Skóra natomiast, niegdyś czysta i ciemna jak

² Styl chłopczycy, przeciwstawiający się kanonom kobiecości.

kakao, była teraz poznaczona bruzdami, bliznami po krostach i miała niezdrowy, szarawy odcień w paru miejscach.

Machnął ręką i zataczając się, padł na łóżko. Zasnął w ubra- niu, rad, że świat z wolna przestawał wirować i drżeć. Nie było mu jednak dane się wyspać. Moses kręcił się z boku na bok, a gdy – wreszcie! – Morfeusz się nad nim zlitował i zesłał tych kilka lichych godzin snu, organizm zaczął się dopominać swych potrzeb. Casey stęknął i zakaszał.

Kiedy się w końcu obudził z poczuciem wstydu i z kosz- marną suchością w ustach, zaskoczyły go spokój i cisza, jakie panowały w domu. Zwykle o tej porze słyhać było krzątanie siostry i czasem jej męża. Ona albo szykowała wczesny obiad, albo pracowała na maszynie do szycia bądź w fotelu z igła- mi, nićmi i materiałami, on – jeśli przebywał w domu, rzecz jasna – oddawał się grze na trąbce. Teraz... Teraz jest inaczej.

Moses wstał z łóżka, próbując ignorować ból głowy. Zrzu- cił wygnieciony trensz, poprawił pozaciągany sweter, ale roz- porka spodni już nie zapinał. Wyszedł na korytarz i zerknął przez okno, lecz na podjeździe nadal brakowało studebakera. Czyżby jego bliscy pojechali gdzieś bladym świtem? Czy może nie wrócili na noc?

– Ruth? – Odpowiedziała mu cisza. – Teddy? – zawołał zachrypniętym głosem. Przeszedł do kuchni, ponownie wo- łając, ale i tym razem nikt mu nie odpowiedział. Został sam w domu, wszystko na to wskazywało. Wzruszył ramionami, spędził w toalecie kilka chwil, potem nalał sobie wody z kranu i chciwie opróżnił szklankę, ale tylko na chwilę zdusił uczucie suchości w ustach.

Potrzebował czegoś na tak zwanego klina. W obecnym stanie nie był zdolny nawet porządnie się zastanowić nad

tą, niecodzienną przecież, sytuacją. W domu nie spożywali alkoholu, oczywiście, jego siostra nie pochwałała takich trunków, a i sam Teddy niechętnie patrzył na cokolwiek z procentami.

Spróbował ponownie zasnąć, ale kac mu na to nie pozwalał. Ilekroć przyłożył głowę do poduszki, miał wrażenie, że całe łóżko zaczyna wirować. Zbierało mu się na wymioty. Zrezygnowany musiał coś z tym zrobić: wypił kolejną szklankę wody, potem następną i jeszcze jedną, ale uczucie piasku i papieru ściernego w gardle, ilekroć cokolwiek przełykał, cały czas dawało o sobie znać.

Moses poddał się i wyszedł z domu, wyruszając do pierwszego lepszego otwartego lokalu. Zorientował się jednak, że kuchenne drzwi zostały otwarte, poszukał więc dodatkowych kluczy (znalazł je w torebce siostry, o dziwo, ale skorzystał z okazji i zgarnął też kilka dolców z portmonetki) i zamknął je, wychodząc.

Miał przy tym szczęście w nieszczęściu – zaczęło mżyć. Woda spłukiwała z niego zmęczenie i ułatwiała walkę z kaczem. Czarnoskóry pogodził się też z utratą kaszkiety i teraz, z dłońmi wciśniętymi w kieszenie tego samego, wysłużonego trencza, zmierzał do najbliższego pubu. Deszcz oczyszczał jego ciało ze skutków pijaństwa, ale potrzebował alkoholu, by zwalczyć tę truciznę wewnątrz.

„Axe” – czy też raczej „The Broken Axe”, jak brzmiała pełna nazwa – to jedna z kilku knajp w Pine Hills. New Deal pozwolił paru optymistom rozkręcić takie biznesy, ale który z nich przetrwa na rynku, to już zupełnie inna sprawa. W ciągu ostatnich lat hucznie otwierano i w ciszy zamykano mnóstwo lokali. Dwa już padły w tym roku: jeden ironicznie

ochrzczony nazwiskiem Volsteada³ poszedł z dymem (szeryf wnioskuje, że było to celowe podpalenie mające na celu wyłudzenie odszkodowania), drugi dumnie noszący imię żony właściciela.

Biedak powiesił się pół roku po otwarciu. Żona zamknęła lokal wkrótce potem.

Teraz w Pine Hills były tylko trzy miejsca. Stary bar „Pine”, pamiętający czasy jeszcze przed wielkiej wojny (i to najpewniej ten lokal sobie poradzi z każdym kryzysem). „Axe” ledwo, ledwo dawał radę, a elegancki, wysmakowany klub dla białych mieszkańców, uroczyście otwarty na przełomie marca i kwietnia bieżącego roku, świecił pustkami praktycznie cały czas i prędzej niż później zostanie na dobre zamknięty.

W „Axe” było ciepło, sucho, przyjemnie i prawie jedna trzecia stolików była zajęta, a przy barze siedziało trzech mężczyzn. W powietrzu unosił się aromat kawy, pod sufitem zaś wisały niebieskawe kłęby papierosowego dymu. Ze stojącego przy barze gramofonu wydobywały się zgrzytliwe nuty bluesa. Właściciel, Andrew Bridges, jowialny i przyjaźni nie nastawiony był drwał, nie mógł sobie jednak pozwolić na zakup szafy grającej, niestety.

Moses wszedł do środka, otrzepał się z kropelek wody i zajął miejsce na końcu, w rogu, w miejscu przeznaczonym dla czarnoskórych. Kiwał głową w rytm smętnej, bluesowej piosenki. Siedział tak przez dobrą chwilę, czekając, aż minie potrzeba zwrócenia lichej zawartości żołądka. W końcu poszedł

³ Andrew Volstead był politykiem forsującym 18. poprawkę do Konstytucji Stanów Zjednoczonych zakazującą produkcji, transportu i sprzedaży alkoholu, stąd tzw. ustawa Volsteada.

zamówić kieliszek księżycówki. Potem drugi, trzeci. Na więcej nie miał pieniędzy.

Z radością powitał alkohol. Trunek sprowadzał upragnioną ulgę, wprowadzając ciało w przyjemne otępienie i obojętność. Skupiony na stojącym przed nim kieliszku nie rejestrował zbyt wiele, co się działo w pubie. Widział, jak ludzie wchodziły i wychodzą.

A potem usłyszał imię swojej siostry.

Podniósł głowę i omiół wzrokiem otoczenie, szukając źródła. Nie przesłyszał się, naprawdę ktoś wspomniał Ruth. Zaczął coś bełkotać pod nosem, tym charakterystycznym, pijackim zaśpiewem. Parę osób spojrzało na niego z niechęcią, ale – póki co – nie robił nic złego.

Atmosfera mimo to gęstniała z każdą chwilą. A gdy czarnoskóry mężczyzna znów usłyszał, jak ktoś wypowiada imię siostry, i to w mało przyjemnym kontekście, wstał. Rozchwianym krokiem podszedł do siedzącego na barowym stołku wąsatego mężczyzny w tweedowym płaszczu.

– Co żeś powiedział, białasie? – wycedził i wysunął oskarżycielsko palec. – Jak ty śmiesz w ogóle wspominać o mojej siostrze w taki sposób! To porządna kobieta, ona nigdy nie... no, nigdy z nikim oprócz własnego męża! – Ostre słowa padały coraz szybciej, ale tylko z jednej strony. Mężczyzna westchnął ciężko i pogładził dłonią wąsy, poniekąd w zamyśleniu.

– Z całym szacunkiem, ale nie chodziło mi w ogóle o pańską siostrę, panie Casey.

– A gównu! Wiem, co słyszałem!

– Źle pan słyszał – odparł oschle mężczyzna. – Wraz z obecnym tutaj panem Schmittem po prostu rozmawialiśmy o bejsbolu. Przecież wczoraj Jankesi wygrali trzeci raz z rzędu!

- Chicago Cubs nie mieli żadnych szans.
- Ano. Ale to nie te czasy, co kiedyś. Gdy Babe Ruth zagrał ostatni mecz, w maju trzydziestego piątego, to skończyła się pewna epoka. Powiedziałem, że każdy tęskni za Ruth.
- A jak? A Red Sox popełnili błąd, sprzedając go jak tanią dziwkę.
- Co? Jaką dziwkę?
- Tanią. – Zaśmiał się tamten. – Wierzysz pan w klątwę Bambino⁴?
- Każdy normalny wierzy, panie Casey. Zresztą gdy Cochrane skończył karierę, to już na dobre zakończył się prawdziwy bejsbol! Panie Casey, daj pan nam spokój, cuchniesz jak gorzelnia – odparł głośniej Schmitt. Moses spojrział zakłopotany i zagubiony na jednego i drugiego mężczyznę, czując nie tyle wstyd, co złość, że naprawdę nie chodziło o jego siostrę.

Ruth nie było w domu. Może naprawdę dokąds wyszła? Ale czy wtedy nie wzięłaby torebki?

Wrócił do swojego stolika. Opróżnił kieliszek, upewniając się, że nie została w nim choćby kropelka bimbru. Siedział jeszcze kilka dobrych minut, przysłuchując się muzyce i rozmowom, licząc, że znów ktoś wspomni o jego siostrze, aż w końcu podszedł do niego Andrew, barman i właściciel zarazem, delikatnie sugerując, by opuścił lokal.

Nie dlatego, że jest czarny.

No dobrze, może i to też było powodem, ale przede wszystkim Bridges nie chciał trzymać pod dachem darmożjada,

⁴ Przesąd sportowy związany ze sprzedażą zawodnika Babe „Bambino” Rutha, mający być klątwą i symbolem prześladowającego pecha: drużyna Boston Red Sox przez 86 lat nie odnosiła zwycięstw.

który drze mordę i stresuje pozostałych klientów. Co gorsza, Moses nie miał już pieniędzy, by jakoś usprawiedliwić swój pobyt w „The Broken Axe”. Powłócząc nogami i podtrzymywany przez barmana, wyszedł na zewnątrz.

Świeże, zimne powietrze uderzyło go w twarz. Schlał się, pijąc na pusty żołądek, ale teraz doskwierało mu co innego. Złość, stres i lęk o siostrę w połączeniu z nadużyciem alkoholu zrobiły swoje. Czuł, jak coś kotłuje się w brzuchu, i miał wrażenie, że jelita skręcają się jak dzikie węże, wspinając się prosto do gardła. Ledwo co przeszedł kilka metrów, zgiął się wpół i wymiotował.

Najbliżsi przechodnie z obrzydzeniem odwracali wzrok; kobiety prychały oburzone i zawstydzone takim zachowaniem, mężczyźni komentowali, nie szczędząc słów uznawanych ogólnie za obelżywe. Starł resztki żółci z ust, odkaslnął i powoli wrócił do domu siostry. Musiał się komuś wygadać, a kto jest lepszym rozmówcą, jak nie rodzona siostra?

Drzwi wejściowe były ciągle zamknięte.

Ruth nie lubiła, gdy są otwarte, czuła lęk i strach przed obcymi – co w sumie można było tłumaczyć kolorem skóry. Gdyby jednak mieli ich zlinczować, już dawno by to zrobili. Nie byli przecież ludźmi, którzy mogli budzić grozę. On sam był żylastym pijaczyną. Teddy grał na trąbce w jednym klubie. Ruth zajmowała się szyciem nawet w ciąży.

Nikomu nie wadzili. Bał się więc o siostrę, o swojego szwagra też. Może i Moses był pijaczyną, który nie umie utrzymać pracy, a część swego życia spędził w więzieniu, ale o rodzinę starał się dbać. Gdy był trzeźwy, potrafił nawet im pomóc rąbać drwa na zimę albo naprawić dziurę w dachu!

Casey wszedł do środka przez kuchenne drzwi. Dopiero teraz zauważył bałagan i przeszło mu przez myśl, że to wszystko mógł zrobić sam, gdy wrócił pijany nad ranem. Uczucie niepokoju jednak ciągle rosło. Tym bardziej że siostra tak bardzo pilnowała zamykania drzwi, a przecież sama zniknęła, zostawiając za sobą torebkę. Przez chwilę czuł nawet strach, że to wszystko wina niedomykającego się okna.

Nikomu o nim nie mówił, nie naprawiał go. Co, jeśli to z jego winy coś się stało?

– Ruth? – zawołał bełkotliwym głosem, chodząc po domu. Odpowiedziała mu, podobnie jak wcześniej, upiorna cisza. Moses stał w korytarzu, patrząc na opuszczone domostwo. Wciąż brakowało samochodu Teddy'ego. Casey chodził z pokoju do pokoju, zerknął na powrót do kuchni, potem do łazienki, w końcu skierował się do sypialni małżeństwa.

Wahał się tylko chwilę.

Zastukał knykciami o drewno, licząc na to, że może siostra śpi, ale nikt mu nie odpowiedział. Pchnął więc skrzydło i wszedł do środka, czując narastające napięcie. Coś było nie tak. Nie wiedział tylko co. Naprawdę martwił się o siostrę; może faktycznie trafiła do szpitala?

Rozejrzał się po ciasnym, acz przytulnym pomieszczeniu. Jedną ścianę zajmowała zabudowana szafa, drugą duże, ale tanie łóżko. Nad nim widniał obraz przedstawiający zdjęcie Jezusa z krzyża, ale nie to przykuło uwagę czarnoskórego pijaka. Pościel w nieładzie, poduszki rozrzucone. Jedna nawet leżała na podłodze.

Było pusto.

– Och, siostrzyczko... – wydał z siebie westchnienie żalu, siadając na łóżku. Zaskrzypiały stare sprężyny. Walizki

pozostawały na swoich miejscach, ubrania leżały w szafkach, lodówka pełna jedzenia. Nie mogli ot tak wyjechać. Nie mogli go zostawić. Nie mogli...

Wstał. Nie mógł wytrzymać tego odczucia kwaśnej, palącej żółci w ustach i na języku, poszedł kuchni. Wziął z lodówki butelkę mleka i wrócił do sypialni siostry. Gdy ugasił pragnienie i zmył smak wymiocin, odstawił mleko na podłogę. Butelczyna przewróciła się, oczywiście.

Moses rzucił się do ratowania dywanu, bo jak Ruth wróci, to urwie mu głowę za każdą plamę. Szybko jednak Casey zapomniał o przewróconej butelce i białej plamie na schludnym dywanie. Zobaczył bowiem trąbkę Teddy'ego leżącą w otwartym futerale pod łóżkiem. Szwagier nigdy jej nie zostawiał, ba, zdarzało się, że spał z tą przeklętą walizką i tylko ciąża Ruth zmusiła go do schowania futerału.

Coś było bardzo nie tak.

– Co do ciężkiej cholery... – mruknął Moses, kucając. Zmarszczył brwi, nie wierząc własnym oczom. Był pijany, tkwił w ciągu, od przeszło kilkunastu godzin nie wytrzeźwiał do końca, ale chyba naprawdę widział futerał wystający spod łóżka. Padając na kolana, sięgnął głębiej.

Wysunął podłużną, drewnianą walizeczkę obitą ciemną skórą. W środku widniała miedzianozłota, elegancka trąbka Teddy'ego, jego ukochany instrument. Casey wiedział, że szwagier nie rozstawał się z nią, chyba że zdarzyłaby się jakaś wyjątkowa sytuacja. Do tej pory tylko raz widział, jak Smithee wyleciał z domu bez futerału.

Teraz powtórzył jego zachowanie.